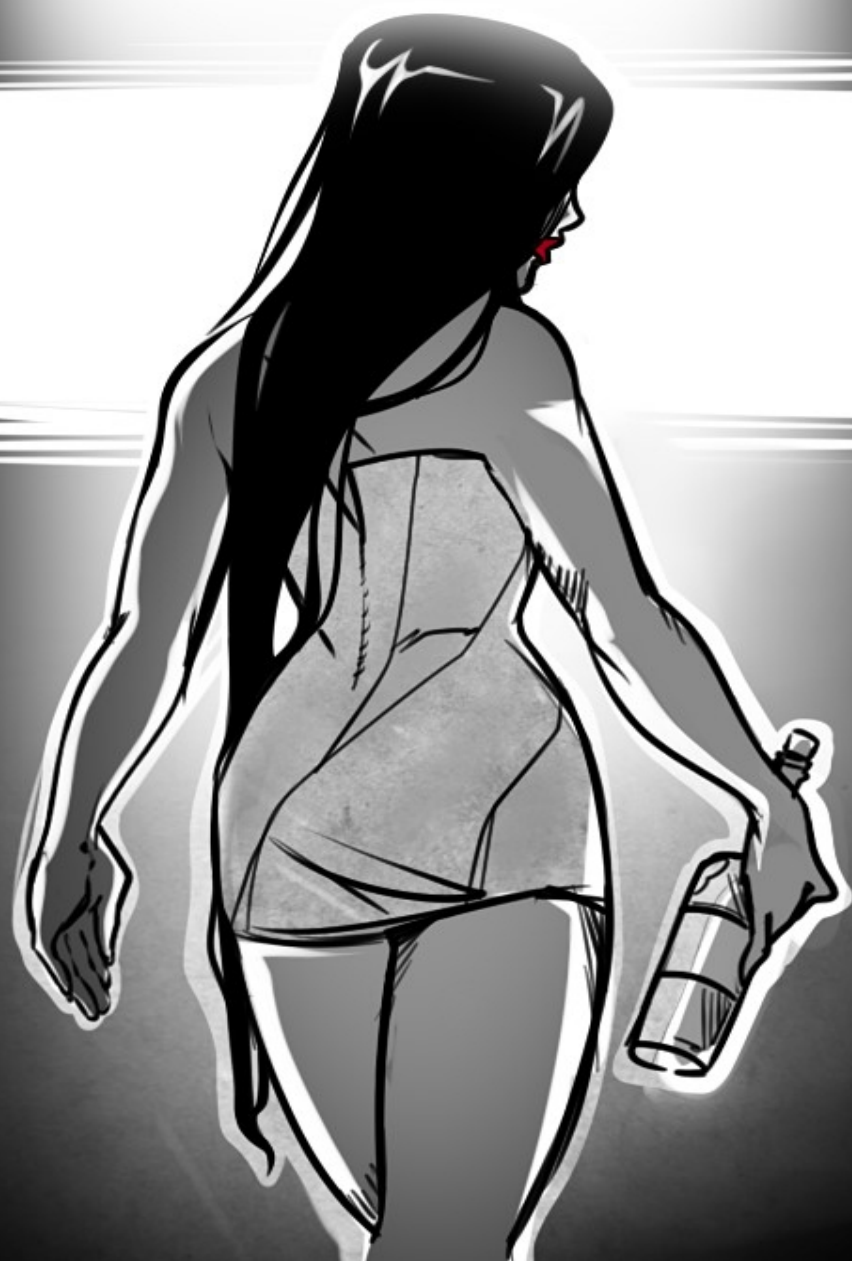


MARCIN MIELCAREK

WSZYSTKIE NASZE BOGINIE-MATKI



Marcin Mielcarek

Wszystkie nasze Boginie-Matki

© Copyright by Marcin Mielcarek

Projekt okładki: GrumpyGoatie

ISBN wydania elektronicznego: 978-83-955557-0-1

Wydawnictwo: self-publishing

e-wydanie pierwsze 2019

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości

bez zgody wydawcy zabronione.

Przedmowa

Na samym wstępie muszę uczciwie zaznaczyć, że poniższe teksty nie przypadną do gustu większości ludzi, ale, prawdę mówiąc, ja też nie przepadam za większością ludzi, także mamy remis, jest jeden do jednego, wychodzimy na zero – zresztą mało ważne, nie powinno pisać się pod publikę, a pod wątrobę, a właściwie to z niej. I z serca. Ja tak zrobiłem, robię i zamierzam robić. Ot, taki rodzaj niedzisiejszego szaleństwa.

Co się tyczy zaś samego poniższego zbioru, to jest on wypadkową życia człowieka – tego człowieka, który niekoniecznie jest stworzeniem pięknym, takim jakim powinien w swojej istocie przecież być. "Wszystkie nasze Boginie-Matki" to opowieści o tych brodzących w słodko-gorzkim bagnie codzienności, czujących wszystko i nic zarazem, będących na szczycie i stojących nad krawędzią jednocześnie, opowieści o ludziach balansujących między światłem i cieniem. Bo tak to właśnie wygląda, takie jest to całe "życie".

A tym, którzy robią pewne rzeczy przy zgaszonym świetle, pozostaje mi tylko powiedzieć – zostańcie tam, gdzie jesteście.

Kolejny cholerny dzień zaglądający poprzez mętne oczy

Leżałem na łóżku z zamkniętymi oczami i słuchałem Debussy'ego, a konkretniej arabeski E-dur. Miałem problem, chociaż nigdy nie miewam poważnych problemów, nie miewałem ich do tej pory. Chodziło oczywiście o pisanie. Ostatnio nie napisałem absolutnie nic. Jakoś nie potrafiłem wystukiwać w odpowiedniej kolejności poszczególnych liter, które zamieniałyby się w słowa, a te słowa tworzyłyby zdania, a dalej ze zdań ułożyłyby się jakiś tekst. Dobry tekst.

No ale, kurwa, nie chciało się nic ułożyć i mocno mnie to denerwowało.

Leżałem więc i rozmyślałem. Miałem plan na opowiadanie, nie może jakieś odkrywczе, ale mogło być ciekawe, oczywiście przy odrobinie tego czegoś. A tego czegoś nadal brakowało. Wyglądałoby to tak: Policjant dostaje wezwanie; ma jechać w pewne miejsce, dom, w którym mieszka rodzina nie do końca spełniająca dzisiejsze wyobrażenie rodziny. I jest tam ojciec, oczywiście zachlany, śmierzący, zły. Matka-polka heroicznie wiążąca koniec

z końcem i trójka dzieci z najważniejszą dla tekstu młodą, piękną dziewczyną, maltretowaną – jasne – przez tegoż ojca. No i policjant przyjeżdża sam – musi sam, bo drugiego być nie może dla dobra opowiadania; tylko dlaczego? Cholera dlaczego sam, a nie z drugim?

I kiedy tak się zastanawiałem, z rozmyślań wyrwał mnie sygnał telefonu. Ktoś do mnie dzwonił. Nie spojrzałem kto, tylko od razu odebrałem połączenie.

– Halo? – zacząłem lekko poirytowany

– No cześć stary.

– Cześć.

– Robisz coś konkretnego?

Nie poznałem po głosie z kim rozmawiam, więc spojrzałem na ekran. To Robert dzwonił. Kumpel ze studiów. W ogóle kumpel.

– Nic szczególnego. Powoli umieram. Mam coraz bliżej końca.

– Wszyscy mamy, nie przejmuj się – oznajmił z odrobiną powagi. Potem spytał już bardziej energicznie. – Czyli co? Robisz coś, czy nie?

– Miałem zamiar pisać, ale na razie tylko myślę, a wiesz, w moim przypadku to już coś.

- Okej. Zapytam wprost. Czy wódka?
- Gdzie i kiedy?
- W plenerze. Najlepiej zaraz.
- A która jest godzina?
- Po czwartej.
- Po czwartej mówisz.
- Za wcześnie? – spytał z nutą wątpliwości w głosie.
- To może być za wcześnie na picie? Nie wiedziałem tego. Trzeba to gdzieś zapisać.
- Czyli przychodzisz do mnie i potem idziemy tam gdzie zawsze. Zgadza się?
- W porządku.
- Pójdziemy do meliny. Dobra? – powtórzył jakby zdziwiony moją pozytywną reakcją.
- Okej, pójdziemy do meliny, wszystko mi jedno. A będzie ktoś jeszcze?
- Zobaczy się. Zawsze od ciebie pierwszego ustalam skład.
- No dobra, w takim razie widzimy się za godzinę. I ten, czystą pijemy, nie?
- Ma się rozumieć, że czystą. Niczego innego nie

trawię. Bajos.

Rozłączył się, a ja poleżałem jeszcze jakąś chwilę, wsłuchując w grający fortepian. Zebrałem się w sobie, wstałem i wyłączyłem laptopa – starczy na dziś poważnej muzyki. Po głowie wciąż chodziła mi ta historia z policjantem, ojcem i piękną lalką. I kiedy poszedłem wziąć prysznic – różnie kończyły się te nasze spotkania i nie, nie jesteśmy pedałami, przynajmniej ja nic o tym nie wiem – układałem opowieść dalej. Czyli szłoby to tak: ten policjant zajeżdża pod dom – z partnerem jednak, bo tak najlogiczniej, a tamten drugi zostanie w aucie, bo coś – czyli starą, zaniedbaną chatę na wsi, z rozpierdalającym się płotem i psami szczekającymi odbytem. Wysiada, a te psy ujadają, tak ujadają, że facet ma ochotę wyciągnąć spluwę i je wszystkie powystrzelać, no ale nie może, to nie Ameryka. Przechodzi obok, wkurwiony, bo jeden ujechał go w nogę, rozdarł spodnie przy nogawce. W końcu puka do drzwi. Ktoś mu otwiera. I teraz tylko kto? To bardzo ważne kto mu otwiera, to rzutuje na całą późniejszą akcję. Ojciec? Nie, ojciec jest napruty i wszystko gównie go obchodzi. Matka może albo któreś z dzieciaków. Dziewczyna? Jeżeli dziewczyna to jak to się cholera potoczy? Ona nie podejdzie do drzwi, bo ona jest ofiarą, a on ma być herosem. Otwiera matka.

Wyszedłem spod prysznic, odlałem się, umyłem zęby – dentysta zalecił mi myć je trzy razy dziennie, odpowiednią pastą, wyglądającą jak szara fuga – i twarz. Potem ubrałem się w miarę, bo wieczór miał być dzisiaj chłodniejszy i wyszedłem z mieszkania. Zajęło mi to prawie pół godziny. Do mieszkania Roberta miałem trzy kilometry.

Była późna wiosna i zrobiło się dużo cieplej, więc wszystkie panie zaczęły odsłaniać swoje piękne nóżki i kiedy właśnie tak sobie szedłem i myślałem o tym cholernym opowiadaniu, które nie dawało mi spokoju, mogłem podziwiać, blade jeszcze, łydki i uda. Kroczyła właśnie przede mną taka kobieta – w czarnej obcisłej kiece i butach na obcasach – i wiedziałem, że mogę iść za nią nawet na koniec świata, jeżeli tylko pozwoliłaby mi wciąż na siebie patrzeć. Skręciła w uliczkę, a ja niestety poszedłem prosto. Do samego bloku mijałem wiele pięknych kobiet, ale żadna nie miała takiej figury jak tamta. Szkoda.

Po drodze wstąpiłem oczywiście po wódek. W białej, blaszanej budzie z napisem "Alkohole 24/7" wziąłem 0,7 czystej, bo na mnie i Roberta było to w sam raz – on przecież też miał coś zabrać. Zapłaciłem, podziękowałem pani o ciemnych włosach i ciemnych oczach za miłą obsługę

i wyszedłem na zewnątrz, gdzie jakiś męt zapytał mnie o dwa złote. Powiedziałem mu, że nie mam dwóch złotych, mam pięć, ale nie mogę mu ich dać i zaraz udałem się w długą. Coś tam na mnie mruczał pod nosem.

Stałem przy drzwiach klatki i nacisnąłem zmęczony guzik od domofonu. Otwarto mi, zanim zdążyłem w ogóle pomyśleć o złapaniu za klamkę. Wszedłem do środka, gdzie od razu uderzył mnie ostry zapach i wiedziałem, że ktoś musiał się tu zeszczuć. Nie pomyliłem się. W rogu, na jasnej ścianie został ślad – jak po chluśnięciu mokrym pędzlem – a tuż pod nim mała kałuża. Ktoś wszedł do klatki. Jakaś niska, drobna, stara baba spojrzała na mnie, bo stałem przed wewnętrznymi drzwiami prowadzącymi na schody, a potem spojrzała na butelkę wódki w mojej ręce. W końcu jej krytyczny wzrok padł na plamę moczu. Pokiwała z dezaprobatą głową tak, jakbym to ja do cholery zrobił i zaraz minęła mnie bez słowa. Poszedłem za nią. Też bez słowa. Wchodziliśmy bardzo powoli, w żółwym wręcz tempie, ale bez żadnych przystanków. Jej stacja kończyła się na piątym, ja wszedłem piętro wyżej. Jara z niej była babka.

Zadzwoniłem do mieszkania Roberta. Drzwi otworzyły się po chwili, a w nich stanęła niska, chudziutka

blondyneczka z krótkimi włosami. Chyba nie miała osiemnastu lat.

– Cześć. Maja.

– Marcel.

– Jestem wariatką – oznajmiła bez ceregieli.

– W porządku.

– Świat jest pełen wariatów, ale trudno ich wyłapać z tłumu, bo wszyscy udają normalnych. Wiedziałeś?

– Domyśliłem się.

Patrzyła na mnie tak jakoś dziko. Miała duże oczy. Zielone, szalone oczy.

– Wejdiesz czy będziesz tak stał i ze mną gadał na korytarzu?

– Ja do Roberta.

– No przecież nie do mnie. Robson siedzi u siebie przez cały dzień i rzuca do tej cholernej tarczy. Cały dzień. Od samego rana. Wyobrażasz to sobie?

Pokiwałem twierdząco głową i postanowiłem wejść. Przecisnąłem się obok niej, bo ta mała stała na samym środku, opierając się o framugę, jakby celowo blokując przejście.

Udałem się od razu do pokoju kolegi. Rzeczywiście

grał w darta.

– Zagrasz?

– Nie mam wprawnej ręki.

– Akurat. – Zerknął na flaszkę. – Tylko 0,7?

– Przecież ty też miałeś coś dorzucić od siebie.

– No spoko. Będzie jeszcze kilka osób.

– Kto?

– Chociażby ta mała.

Maja weszła właśnie do pokoju i usiadła całą sobą na zamszowym fotelu. Wyglądała jak drobny ptaszek.

– I kto jeszcze?

– Kilka osób. Jakub na przykład.

– Ten wysoki fajfus? Co tam u niego? Ostatnio kiedy go widziałem mówił, że ma dość swojej gównianej roboty w rzeźni. Czy ubojni. Cholera wie.

– No teraz to robi w mrożonkach. Chyba.

– A nie ostatnio robił w mrożonkach?

– No to znowu w nich robi. Zresztą gówno mnie to obchodzi. Zapytasz go jak będziesz chciał.

Po prawdzie mało mnie to interesowało.

– Dobra – oznajmił Robert, rzucając ostatnią lotkę. – Przebiorę się i możemy iść.

Wyszedł, rzucając przelotne spojrzenie Mai. Zostałem z nią sam na sam.

– Pokazać ci cycki? – spytała nagle z pełnym entuzjazmem.

– Co? – Pomyślałem, że się zwyczajnie przestyszałem.

– Pytam, czy pokazać ci cycki. – Złapała się za koszulkę widocznie gotowa zrobić to od zaraz.

Zerknąłem na jej piersi schowane pod czarnym materiałem. Musiały być bardzo małe, bo nie zauważyłem żadnych wypukłości. Poza tym nie miałem ochoty na żadne takie prezentacje.

– Może innym razem.

– Szkoda.

Chcąc coś ze sobą zrobić, podszedłem do okna. Wyjrzałem na osiedle. To była jedna z tych gorszych okolic, gdzie rośło mało drzew, było dużo gołej ziemi i szarego betonu i w ogóle było smutno, jakoś nieprzyjaźnie. Na nędznym placu zabaw bawiły się dzieciaki.

– Ty jesteś bykiem, nie?

– Chodzi ci o zodiak?

– No. Byk jak nic.

– Czemu tak myślisz?

– Bo wyglądasz jak małpolud. Robert jest bykiem i jak wygląda?

– To w ogóle nie ma nic do rzeczy.

– Ta. Jasne.

Zerwała się z brązowego fotela i wybiegła z pokoju, mijając wchodzącego Roberta.

– Przepraszam cię za nią. To wariatka.

– Mówiła mi.

– Każdemu to mówi. Podobno lekarz jej zalecił.

– Chciała pokazać mi cycki.

– Nie tobie pierwszemu. Fakt, szalona z niej pinda, ale jeżeli chodzi o te sprawy, to jest świetna. Zajeżdżałaby człowieka na śmierć, gdyby jej tylko pozwolić.

– Skąd ją wzięłeś?

– Sama do mnie przyszła. Z piętra wyżej. Jej stary całe dnie leży pijany, a matka sprząta chyba w jakiejś szkole. Jest jedynaczką. I poza tym nic o niej nie wiem. Więcej się pieprzymy niż gadamy.

– No to chyba dobrze?

– Może być – Wyszedł z pokoju. Poszedłem za nim.

Zatrzymał się przy drzwiach od łazienki i zapukał, waląc otwartą dłońią kilka razy.

– Maja wyłaż. Idziemy.

Nie odpowiadała, więc wałnęła znów, aż szklana szybka zabrzęczała od siły jakiej używał.

– Otwieraj.

Otworzyła mu.

– Co z tobą nie tak? – spytała go oburzona.

– Idziemy.

– Idziemy, idziemy, idziemy. Ciągłe gdzieś idziemy.

– Nie chcesz to zostać. Wszystko mi jedno.

– Dobrze już. Idę przecież, idę. Nie denerwuj się – powiedziała jakby trochę przerażona wizją zostania tutaj samej. Tak mi się przynajmniej wydawało.

Robert na zdenerwowanego nie wyglądał, raczej na takiego, któremu naprawdę wszystko jedno. Złapała go za rękę, chwytając nerwowo i tak samo nerwowo patrząc mu w oczy. Nie wiedziałem o co chodzi między tym dwojgiem. Wyszliśmy z mieszkania, nie gadając ze sobą.

Zanim znaleźliśmy się w naszej melinie, musieliśmy jeszcze wstąpić do sklepu, a konkretniej marketu,

bo Robert nie chciał przepłacać kilku złotych za wódkę.

– Jakbyś kupił u nas, pod blokiem, to polską gospodarkę byś wsparł. Polskich przedsiębiorców – odezwała się Maja, kiedy staliśmy już w kolejce do kasy.

– W dupie mam polskich przedsiębiorców. Forsą nie sram i kiedy mogę zapłacić mniej, to płacę. Tobie też radzę zacząć tak robić. A nie ode mnie ciągniesz za każdym razem.

– Uważasz, że mnie utrzymujesz!? – krzyknęła i to wcale nie tak, żeby nikt nie słyszał. Kilka osób obejrzało się w naszym kierunku.

– Tego nie powiedziałem.

– To co? Że może mi płacisz za ruchanie? Masz mnie za kurwę?

– Tego też nie powiedziałem.

– A co ty właściwie mówisz. Nic nie mówisz. Nigdy nic nie mówisz.

– No i dobrze.

Spojrzałem na niego lekko skonsternowany. Masa ludzi przysłuchiwała się ich rozmowie, ale Robert wcale się tym nie przejął, przynajmniej nie było tego po nim widać.

– No i dobrze. No i dobrze – buczała pod nosem Maja, robiąc przy tym dziwne miny.

– Cicho. Starczy już.

Posłuchała go.

Zapłaciliśmy i wyszliśmy z marketu. Udaliśmy się prosto do naszej kryjówki, czy też "enklawy" jak nazywał ją Robson. Po drodze rozmyślałem o swoim opowiadaniu, a tamta dwójka o coś się żarła. Nie bardzo mnie to obchodziło, więc nie słuchałem zbyt uważnie wyrzutów ze strony tej szalonej dziewczyny. Zwyczajnie zaczynała mnie irytować i ani trochę nie pociągała mnie fizycznie.

A wracając do opowiadania, to powinno ono iść dalej tak: Otwiera matka i zdziwiona, przerażona, dzika, skołowana pyta, o co chodzi. Policjant – jak on właściwie ma wyglądać? Wysoki to raz. Dwa przypakowany. Lekko głupi to trzy. Cztery to brzydka twarz. A może przystojna? Wygląd ma znaczenie – podobno nie, ale wszyscy dobrze wiemy jak naprawdę jest. Niech będzie nijaki. No więc ten funkcjonariusz – dziwne słowo – oznajmia, że została zgłoszona przemoc domowa i musi to sprawdzić. Matka robi się jeszcze bardziej niż wcześniej i z wielkimi jak pięć złotych oczyma odpowiada, że musiała zajść jakaś pomyłka. Mężczyzna dzielnie wyklucza taką możliwość i prosi o pozwolenie na wejście – ubaw jak sto. Ona pozwolenia mu odmawia. Wchodzi więc siłą. Wymija

kobietę i zostawia za plecami obsrane obejście. Staje w korytarzu i rozgląda się po wnętrzu – urządzone, a właściwie wcale. Z kuchni wybiegają nagle dwaj chłopcy, zaraz po tym, jak matka woła sprzed domu ich imiona. Po facecie to spływa, szuka sprawcy, czyli pijanego – oczywiście – ojca-ciemężyciela-oprawcę. Z pokoju po prawej dobiega go dziwny jęk.

– A ty Marcel? – Wrywa mnie z wypaczonej krainy fantazji głos Roberta.

– Co ja?

– Co o tym myślisz.

– O czym kurwa?

– No, żebym sobie kupił to BMW. Taka stara E36 w kompcie stoi u nas pod blokiem. Dwa koła. Do małej negocjacji. Co myślisz?

– Nie wiem. Na co ci wóz?

– Żebym w końcu znalazł sobie jakąś normalną laskę – powiedział głośno, żeby ta mała, która szła teraz ze trzy metry przed nami, wszystko słyszała. – A ty co masz za wózek?

– Volvo. S40. W sedanie.

– Dobrze?

– Nie narzekam.

– Dużo dałeś?

– Więcej.

– To co myślisz?

– Chcesz to kupuj. Jak potrzebujesz do wyrywania lasek beemka będzie w sam raz.

– No pewnie, że do wyrywania laseczek – znów oznajmił to dużo głośniej. – Tylko to w życiu się liczy.

– Mam to w dupie! – krzyknęła i pobiegła przed siebie. Zniknęła tuż za rogiem.

– Gdzie ona biegnie? Wie gdzie jest melina?

– A gdzie tam wiem.

– To co z nią?

– A co mnie to? Niech biegnie gdzie chce.

Coraz bardziej oddalaliśmy się od miasta i ludzi. W końcu przeszliśmy przez ostatnie osiedle, zostawiając niskie bloki za naszymi plecami. Kroczyliśmy teraz polną drogą. Po kilku minutach byliśmy na miejscu.

Melina była niczym innym jak zwykłym opuszczonym budynkiem, służącym kiedyś za jakiś magazyn. Stała na skraju miasta, w dzikim terenie, a obok rósł gęsty las i płynęła śmierdząca rzeczka. Po prawdzie rzadko tutaj

bywałem, bo wolałem pić u siebie w mieszkaniu, sam, bez tej całej zgrai kolorowych ludzi, których w większości nie znałem, ale Roberta zawsze do nich ciągnęło. Nie wiedziałem co ani dlaczego, ale tak było. Po prostu lubił tutaj przychodzić.

W środku balowało już kilka osób i o dziwo wśród nich Maja, która zaraz rzuciła się Robsonowi na szyję, całując go i przepraszając raz za razem. Miałem ochotę spytać ją jak tutaj trafiła, ale pomyślałem, że nie ma to sensu. Szaleństwo, które w sobie miała, na pewno wskazało jej drogę.

Wszedłem do ruiny o ceglanych ścianach i dachu z papy, wyglądającym tak, jakby miał się zaraz zawalić i usiadłem na jakimś plastikowym krześle, a właściwie jego połowie, bo oparcie było wyłamane i wyglądało to jak jakiś taboret tylko, że z podłokietnikami. Robert usiadł obok na podobnym siedzisku, a Maja wskoczyła mu na kolana.

– Złaż, bo to gównie zaraz całkowicie się rozleci.

Zaśmiała się i zaczęła machać nogami. Miała nóżki jak patyczki.

– Złaż kurwa. I przynieś jakieś kubki.

Zeszła i poszła w swoją stronę. Wróciła po chwili z trzema białymi kubkami. Rozlałem szczerze wódki do tych kubków i wypiliśmy jednym haustem. Dziewczyną aż targnęło.

Ktoś obok zaczął rozpalać ognisko, które zajęło się niebieskim ogniem, po tym, jak łysy typ o ryju świni wrzucił tam jakieś śmieci. Następny koleś dorzucił kilka butelek. Morski płomień palił się dosyć długo, dymiąc na czarno. Zapach tego gówna rozniósł się w powietrzu. Śmierdziało śmiercią.

Znowu polałem. Wypiliśmy. We trójkę.

– Każ im to zgasić! Głowa mnie od tego boli! – wykrzyczała nagle i zerwała się z miejsca. – Każ im w tej chwili!

Podbiegła do ściany, oparła się o nią i wyrzygała pod siebie.

– Ej wy!

– Co? – spytał ten gość o twarzy prosiaka. W rękach trzymał jakieś zzieleniałe butelki po wodzie, które sukcesywnie dorzucał.

– Nie palcie tego gówna.

– Czemu?

– Nie palcie i już, zrozumiano? – rozkazał, bo miał ku temu argumenty. Wzrost i masę.

– Okej. Bez nerwów.

Odeszli od ognia. Dziwne to były typki.

– Widzisz? Już załatwione – oznajmij jej Robert, kiedy Maja do nas wróciła.

– Super.

Ludzie wciąż się schodzili i czułem, że ta alkoholowa libacja dopiero miała się zacząć. Siedziałem, piłem i myślałem, jednocześnie udając, że przyglądam się ludziom. Opowiadanie w mojej głowie parło do przodu.

Tak więc ten dziwny jęk dochodzi zza drzwi. Nasz dzielny policjant bez chwili zwłoki łapie za klamkę. Zamknięte. Wie, że nie ma czasu. Bierze lekki rozbieg i wpada z impetem, rozpieprzając dotychczasową przeszkodę na kawałki, do pokoju. Panuje półmrok, okna pozasłaniane firanami, cienki snop światła pada w kąt pomieszczenia. Są tutaj dwie osoby. Skulona, płacząca, obdarta, zwierzęca, piękna siedzi tam ONA. Kryje twarz za kolanami, a długie, jasne włosy sięgają jej do kostek. Nad nią góruje ON. Jego wielkie, grube, tłuste cielsko przykrywa biały, zabrudzony podkoszulek. Facet stoi i trzyma w ręku pas. "Policja" krzyczy policjant, bo co innego ma krzyczeć? Stój, bo strzelam? Mówiłem już. To nie Ameryka. Olbrzym-ojciec odwraca się powoli. Pas w jego ręku niebezpiecznie zaczyna się bujać. Funkcjonariusz wyciąga gumową pałkę. Każe mu się poddać. "Ni chuja" odpowiada

oprawca i rzuca się na przedstawiciela prawa – bardzo istotnych, upiększających tekst synonimów w opór. Wywiązuje się walka. Policjant wychodzi ze starcia zwycięsko. Dziewczyna nadal siedzi skulona w kącie. Policjant zdaje sobie sprawę z tego, że jest z nią sam na sam.

– Marcel?

Podniosłem wzrok.

– Siemasz Jakub. Co tam u ciebie?

Przywitaliśmy się. Jakub miał wielkie łapy.

– Po staremu. Dryfuję na środku morza gównianych dni. Po horyzont tylko gówniane dni i zero pomocy.

– Nadal robisz w mrożonkach?

– W rzeźni. Pracuję w rzeźni.

Nie było sensu mówić czegokolwiek, a tym bardziej dodawać mu jakiejś otuchy. Wszyscy razem pływaliliśmy po tym gównianym morzu bez dna.

Ściemniało się, ale osób będących w towarzystwie wcale nie ubywało. Wręcz przeciwnie. Przez pewien czas miałem na radarze ciekawą cizję. Była wysoka i miała długie, niebieskie włosy. Kilka razy przeszła koło mnie, zerkając ukradkiem, a ja przyglądałem się jej wyjątkowo ładnej twarzy.

Trzymała się z grupą jakiś brudnych cweli, a z tego co zauważyłem, każdy jeden miał na nią ochotę. Nie podszedłem zagadać. Sam nie wiem. Zresztą, chuj z tym.

– No i po co tutaj przyszliśmy? – spytała Maja znużonym głosem.

– Nie wiem. Zapytaj swojego ojca.

– Ty głupku jeden! Nie mów nic o moim ojcu! NIE MÓW O MOIM OJCU! – Rzuciła się na niego z rykiem i zaczęła tłuc swoimi małymi piąstkami. To było jak starcie psa z autem.

– Spadaj. – Robert odepchnął ją lekko. Maja upadła na ziemię. Przez chwilę zrobiło się cicho.

– UDERZYŁEŚ MNIE! – wybuchnęła jak bomba z opóźnionym zapłonem.

– Nie pierdol. Nie uderzyłem.

– UDERZYŁEŚ!

– Kurwa nic ci nie zrobiłem. Powiedz Marcel, że nic jej nie zrobiłem. No powiedz.

Nie odpowiedziałem.

– Skoro tak kurwa – oznajmił mocno wkurwiony, podnosząc się z krzesła. – To sobie siedźcie sami. Wypierdalam stąd.

Zrobił kilka kroków i zatrzymał się.

– Aha, Marcel, jakby co to ona jest ruda, tylko się farbuje. Zobaczysz, jak zajrzysz do jej majtek.

– NIE JESTEM RUDA!

Odszedł szybkim krokiem, a Maja jak furiat poleciała za nim. Zostałem sam. W głowie kończyłem opowiadanie.

Ojciec leży pobity do nieprzytomności pod nogami policjanta, w kącie skulona piękność, oświetlona przez wpadający oknem promień światła. Mężczyzna wie, że wykonał kawał dobrej roboty, wie, że trzeba zabrać dziewczynę z tego domu, że trzeba zachować się jak człowiek. On o tym wszystkim wie. W jego głowie rodzi się nagle straszliwa myśl. Myśl, która nie powinna zaistnieć. Stoi nad dziewczyną i zaczyna się wahać. On stanowi prawo i ma władzę. Może zrobić z nią wszystko, na co ma ochotę. Była skazana na jego łaskę. Była jego nagrodą. Ostatnie zdanie, najważniejsze dla całego opowiadania. Ostatnie zdanie puentujące cały tekst. Wszystko inne może być gówniane, byleby wieńczące zdanie było złotem. Jakie ma być to ostatnie zdanie do cholery?

– Można? – wybudził mnie kobiecy głos.

Spojrzałem na niebieskowłosą dziewczynę. Na jej ustach zagościł zalotny uśmiech.

– Oczywiście.

Słońce chowa się za horyzont, z czyjegoś auta wygrywa "Whiskey In The Jar", ludzi w koło ubywa, fajna dziewczyna siada obok mnie.

– Zauważyłam, że odleciałeś, twój wzrok był nieobecny. Wszystko gra?

– Tak, w porządku, dzięki. Po prostu się zamyśliłem.

– Palłeś coś?

– Nie, nie kręcą mnie takie rzeczy.

– Nie? A jakie?

– Myślałem o swoim nowym opowiadaniu.

– Ciekawe. Jesteś pisarzem?

– Pisarzem-amatorem. Takie hobby.

– No i nad czym tak myślałeś?

– Ułożyłem sobie wszystko w głowie, zwykle tak nie robię, zwykle siadam i po prostu piszę, ale ostatnio się zaciąłem. I pomyślałem, że może najpierw trzeba poskładać wszystko w całość. No i poskładałem. Poza ostatnim zdaniem. Nie wiem jak powinno brzmieć. To bardzo ważne.

Najważniejsze dla opowiadania.

– Może będę ci mogła pomóc? O co w nim chodzi.

Przedstawiłem jej całą historię.

– Nie może jej zgwałcić. Niby dlaczego miałby ją zgwałcić? – spytała oburzona.

– A dlaczego miałby tego nie zrobić?

– Bo to policjant.

– Policjant też człowiek.

– Nie wiem co o tym sądzić. Wcale nie podoba mi się ten pomysł. To chore.

– Być może.

– Rajcują cię takie rzeczy?

– To tylko fikcja. Historia jest tylko środkiem do poruszenia pewnego problemu.

– Jakiego?

– Ludzkiej ułomności. Tak przynajmniej mi się wydaje.

Siedziała chwilę i myślała. Było ciemno, mrok skrywał jej piękną buzię.

– A może on wcale nie ulegnie pokusie. Powstrzyma swoje żądze.

– Nonsens.

– Odchodzi i mówi coś w stylu "Nie wszyscy jesteście zwierzętami".

– To głupie. Temu facetowi bliżej do Carrey'a z "Ja, Irena i ja" niż Topy z "Drogówki".

– To nie wiem jak ci pomóc. Może w trakcie pisania na coś wpadniesz.

– Może tak.

Wstała.

– Dzięki za pomoc – rzuciłem do niej.

– Nie ma sprawy.

Postała jeszcze chwilę, patrząc na mnie i nic nie mówiąc. Może czekała na mój ruch, czekała na jakieś słowa z moich ust. Nic takiego nie nastąpiło. W końcu wróciła do tych brudasów. Nie ważne.

Było ciemno i zaczęło robić się coraz zimniej. Uznałem, że dłuższe siedzenie tutaj nie ma większego sensu. Wódka całkowicie wyparowała mi z głowy i żałowałem, że nie przyjechałem autem. Miałem kawał drogi do mieszkania. Ruszyłem przed siebie. Całkiem sam.

Szedłem już dość długo, wciąż myśląc o tym ostatnim zdaniu i za cholerę nie mogłem wpaść na to, co ten policjant do niej powie. Nie zdecydowałem nawet czy jej to

zrobi, czy nie. Zatrzymałem się na przystanku. Nie chciało mi się więcej iść. Po kilku minutach podjechał autobus. Wsiadłem. Nie kupiłem biletu. Ona siedziała na miejscu przy oknie.

– Hej.

– Hej. – Uśmiechnęła się do mnie. Też się uśmiechnąłem i nie bardzo wiedziałem co mam powiedzieć. Nie rozmawialiśmy. Wysiadła kilka przystanków dalej.

– No to cześć.

– Cześć.

I tyle ją widziałem.

Ja też wreszcie wysiadłem, a nogi same poniosły mnie do domu. Nie miałem już siły ani chęci myśleć o tym opowiadaniu i tej dziewczynie. Zresztą pieprzyć to. Pieprzyć to ostatnie zdanie. Nie ma puent, nie ma morałów, a wszystko wokół nie ma sensu. Leję na to. I wam też radzę tak zrobić.